Ner 44. Kraków, 4go Listopada. 1861.

ROK II.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:
Bez mód:
Rocznie . . 6 zł. — c. w. a.
Półrocznie . 3 „ —
Kwartalnie . 1 „ 50 „ „ „
Miesięcznie . — „ 50 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 10 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 „ 10 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 55 „ „ „
Miesięcznie . — „ 85 „ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi:
Bez mód:
Rocznie . . 7 zł. 20 c. . a.
Półrocznie . 3 „ 60 „ „ „
Kwartalnie . 1 „ 80 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 11 zł. 40 c. w. a
Półrocznie . 5 „ 70 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 85 „ „ „
„Niewiasta“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr. i Królestwa Polskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 centów wal. austr. — Talar pruski przyjmuje się po 2 zł. w a.
Inseraty (stósowne) opłacają się: za pierwszorazowe umieszczenie od wiersza petytowego 4 cent., nastepnie po 2 cent. Dokłada się 30 cent. za każdą razą na stempel rządowy.
Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie.**
Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane Księgarnie.

☛ Upraszam o spieszne łaskawe nadesłanie zaległości.

Redaktor.

Czytanie.

Wszyscy się zgadzają na to, że autorstwo wymaga talentu i wprawy, że jest sztuką jak niezbyt łatwą, tak i jedną z najprzedniejszych. Ale rzadko komu przyjdzie do głowy, że użytkowanie z dzieł także nie jest łatwem, ze ich dobre czytanie jest także sztuką.

Mówiąc o dobrem czytaniu, nie mówię o wygłaszaniu należytem pisma; ale o dostatecznem jego zgłębieniu, ocenieniu i przyswojeniu sobie wszystkiego, co w niem jest zdrowe i pożyteczne.

Kto umie dobrze czytać, ten i z pism niezupełnie dobrych, a nawet ze złych potrafi odnieść korzyść; z którego to mego zdania wcale nie wypływa, aby młode osoby brały się zuchwale do czytania dzieł, o których nie mają pewności, że są dobremi.

Młode osoby powinny zatem czytać tylko dzieła wskazane im przez sumiennych znawców, a jeżeli może być pod ich przewodnictwem. Powinny czytać nie kwapiąc się, czytać pokąd rzeczy niezgruntują, nieprzetrawią i pokąd wyników zbawiennych pisma w krew własną nie zamienią. Tak czytając, nauczą się pożytecznie czytać, i będą mogły odnosić korzyść z dzieł mniej dobrych, a nawet złych.

O dobrych i złych dziełach później poszczegółowo pomówimy.

— 1. —

MARYA KAZIMIERA,

KRÓLOWA POLSKA.

(Ciąg dalszy).

II.

Wspomnieliśmy byli już wyżej, że panowanie Władysława Wazy, syna Zygmunta IIIgo, było jeszcze dość szczęśliwem. Wzmianka ta potrzebuje bliższego objaśnienia.

Władysław IV był już elekcyjnym królem, na nim czwarta już nawet odbyła się elekcya; lecz, mimo to, był jeszcze królem, którego powaga całą moc i władzę monarchiczną dzierżyła w swem ręku. Naród czcił i szanował w nim nawet dziedziczną jeszcze królewskość, elekcyę uważał tylko za nową formę, stósunkami krajowemi zaprowadzoną, wierząc w możebność utrwalenia sukcesyi tronowej. Jeszcze więc taki król, jakim był Władysław IV, mógł dość szczęśliwie panować nad narodem, w którym pierwiastek monarchiczny miał jeszcze tradycyjną powagę i znaczenie, mogąc nawet ustalenia się swego i zwycięztwa spodziewać się i nadal. Dość szczęśliwem było w rzeczy samej panowanie Władysława Wazy — i lubo w całej tej już epoce dziejów naszych, od śmierci Batorego poczynającej się, sprawiedliwie wszyscy historycy Polskę upadającą zowią, kilka lat panowania dzielnego Władysława prześwieca jeszcze dawnej naszej świetności blaskiem, nie mającym jednak już tej potęgi i ognia, aby utrzymać się na długo i ciemne późniejszych lat zawikłania rozświecić i rozgmatwać. Szczęśliwem także panowanie Władysława zwać musim, gdy zważymy na co w późniejszych czasach wyszła ta elekcya, której już wyniesienie swoje na tron polski i Władysław zawdzięczał.

Wierny, choć bolesny obraz upadku władzy monarchicznej w Polsce, i zgubnych jego skutków odmalował nam Z. A. Helcel w uczonym swoim wstępie do listów Jana III, do których w dalszym ciągu naszego opowiadania często zwracać się będziemy, i dla tego też pozwalamy tu sobie przytoczyć niektóre z niego ustępy.

O znaczeniu więc elekcyi temi wyraża się on słowy: „Później tron jest już tylko sprzętem dla kształtu używanym; elekcya już tylko odpustowym kiermaszem, „pełnym nabywców i sprzedawców złotego świecidła „targiem, po którego uciechach i zgiełku wnet smutny „zawód dla wszystkich nawzajem i obustronne nastawały niesmaki. Król zostaje związanym tylko, lecz „nieumocowanym prawami, prostym szafarzem prywatnych korzyści; panującym wrzkomo, lecz niemal cale „nierządzącym guslem(?) monarchy; zwierzchnikiem, koniecznie już z samego składu rzeczy pchanym do intryg, jeśli dla kraju w roli czynnej chciał wystąpić. „W takiem, potwornem dla godności monarszej, zapaśnictwie znękany Jan Kazimierz przełożył opactwo we „Francyi nad dalsze królowanie w Polsce. W takiem „nieudolny Korybut nawet na chwilę stonowiska własnego zająć nie potrafił, miotany raz dumą zawiedzionego w swych oczekiwaniach możnowładztwa, drugi „raz zaciekłością gołąbskiej konfederacyi, krzykliwej „a nikczemnej, okrutnej a bojaźliwej.“

Gdy więc na tak okropny i prawdziwy obraz upadłego monarchizmu popatrzymy, przyznać będziemy musieli, iż w stosunku do późniejszych elektów, mianowicie do Jana Kazimierza i Michała Wiśniowieckiego,

Władysław IVty dość jeszcze szczęśliwym był monarchą, lubo już i on nie mógł, jak chciał, zamyślając o przywróceniu porządku wewnętrznego, ani zaprowadzić orderu niepokalanego poczęcia Panny Maryi, ani według zaufania, jakie w Radziejowskim i Ossolińskim pokładał, uzbroić większej liczby kozaków.

Nie długo jednak było i tego szczęśliwego panowania. Wewnętrzne niezgody stokroć gorzej bezpieczeństwu Rzeczypospolitej szkodzące, niżeli wojny z zewnętrznemi jej nieprzyjaciołmi, jak zgubna choremu ciału gangrena, niszczyć poczęły Polskę tak, iż każdy, kto tylko zdrowem okiem na jej niedolę patrzył, nie długą mógł wróżyć jej wolność. Bo i któż mógł tę swywolę poskromić wewnętrzną, kiedy król, grymasem szlachty ograniczony w działaniu, był zupełnie bezwładny? Senat, owa niegdyś jedyna królów rada, wyższy nad tłum rozpasanej szlachty rozumem i potęgą moralną, umiał wprawdzie w początkach panowania Władysława karcić i w rygor wciągać bracią szlachtę, później atoli upadał zupełnie na swojej powadze, i w miarę wzrostu zagranicznych wpływów, przez różne figury reprezentowanych u nas, niby gospodarujące naszemi sprawami, tracił znaczenie naturalne, podkopując całą powagę monarchów.

Zbliżając się do szczegółowszego rozpoznania stanu rzeczy w Polsce, w epoce która służy za tło naszego opowiadania, przeglądaliśmy ostatnie mianowicie lata panowanie Jana Kazimierza, w tych bowiem czasach i Marya Kazimiera i ci, których ona obchodziła najbardziej, występują na scenę dziejową.

Uciążliwą i wielce kraj niszczącą wojną zajęta Polska, gdy buntów Chmielnickiego uśmierzyć nie może, i z nowym a groźnym nieprzyjacielem, carem Aleksym Michajłowiczem, nową prowadzić musi wojnę, ujrzała się w r. 1655 w najokropniejszem położeniu, wyrodny jej syn bowiem zdrajca Radziejowski nienawistnych Janowi Kazimierzowi wprowadza do niej Szwedów. Zaprawdę, położenie tak okropne nazwać tylko można surową sprawiedliwej opatrzności karą. Nieszczęścia swego i całego narodu niedoli odeprzeć nie zdolny Jan Kazimierz, tracąc już ufność w odmianę prześladującego go losu — prawie z placu bitwy ucieka, zostawiając wszystkie sprawy i całą obronę Polski Czarnieckiemu i Lubomirskiemu; sam chroni się w Opolu na Szląsku, osierociały naród oddając prawie nieprzyjacielowi. Złym przykładem nieufności króla pociągnięty cały naród, po małych i nic nie znaczących utarczkach, sam traci ufność w pomyślność swej sprawy i oddaje się w ręce Szweda. Godną wspomnienia jest rzeczą, iż pod Lanckorońskim walczący Sobieski, znany już rycerz z bitew pod Zborowem, Zbarażem, Beresteczkiem i Zwańcem, oraz Michał Koryhut Wiśniowiecki, dwaj późniejsi królowie, obaj na wierność zwycięzcy swemu, Karolowi Gustawowi, przysięgę wykonywują.

Radziejowski w Polsce, a na Litwie Bogusław Radziwiłł przeciągają wszystkich na stronę Szweda. Warszawa, Kraków, Poznań, Kalisz, Lublin, Mińsk, Wilno i Kowno zdobyte i zniszczone. W nieszczęściu tem atoli mężny Czarnecki i Lubomirski, wiary w opiekę Boga nad Polakami na chwilę nie tracąc, jedyną biednej ojczyzny byli obroną. Dzielna obrona Krakowa Stefana Czarnieckiego przeciw Szwedom chlubnie wpisała imie tego bohatera w poczet sławnych obrońców ojczyzny.

Szczęśliwym jednakże okolicznościom tylko zawdzięcza Polska wydobycie swe z toni upadku i niewoli. Tatarzy, których Marya Ludwika umiała zręcznie na swoją stronę przyciągnąć *), zazdroszcząc wzrastającej potęgi carowi, namawiają Chmielnickiego do opuszczenia sprawy Rosyi, przez co uwalniają Polskę już od jednego, dotkliwego jej ciosu. Car zaś sam, nieprzyjazny Szwedom, i zazdrosnem okiem patrzący na zabory Karola Gustawa, opuszczony od Chmielnickiego, zamierza wejść w układy z Polską — a to już drugą stawało się gwiazdą nadziei wydobycia się z pod jarzma najezdzcy. Trzeba było jednak odważniejszego od Jana Kazimierza i zręczniejszego, niżeli on, polityka, aby z tych okoliczności mądrze skorzystać; trzeba było wejść z zebraną przez Czarnieckiego i Lubomirskiego siłą odrazu do kraju, i tracącego już po części szczęście i siłę Karola Gustawa nagłem najściem do ustąpienia z Polski przymusić. Nastręczała się nawet Janowi Kazimierzowi jeszcze lepsza sposobność do zrobienia wojennego kroku, gdy przysłany od Karola Gustawa do Opola Schlippenbach traktował z nim o ugodę. Lecz nie skorzystał z tego Jan Kazimierz. Marya Ludwika miała już wtedy nad nim zupełną przewagę. Jej rada otrzymała pierwszeństwo. Warunki Karola Gustawa odrzucono, a natomiast przymierze najściślejsze zawarto z dworem austryackim. Jan Kazimierz przystać musiał na ciężkie z Wiednia nadesłane warunki. Na mocy tychże, pod opieką Austryi, stawa w Wilnie ugoda między Janem Kazimierzem a carem, w skutek której Alexy ustępuje z Litwy i w Inflantach Szwedów trapić rozpoczyna. Trudno jednakże było doczekać się z Austryi przyrzeczonych posiłków. Śmierć cesarza Ferdynanda III, po którym Leopold I na tron wstąpił, zakończyła dopiero jej ociąganie się i zwłoki.

Obrona Częstochowy przez księdza Augustyna Kordeckiego, cudowną opieką Matki Boskiej wsparta, i konfederacya tyszowiecka, w najszlachetniejszym celu zawiązana, zwraca nareszcie Jana Kazimierza z hańbiącego go zawsze schronienia do ojczyzny, i z pomocą Najświętszej Panny, której opiece nieszczęsny król całą Polskę oddaje, przechyla zwycięztwa na naszą stronę.

Rok jeszcze przeszło miała Polska do walczenia z Szwedami, którym to Fryderyk Wilhelm pruski, to Jerzy Rakoczy dopomagali, aż wreszcie gdy w roku 1657 Szwecyi król duński najazdem swym w Pomeranię zagroził, uwolnioną została od tego, Tatarom podobnego nieprzyjaciela, i przez to choć nie o spokoju i wewnętrznym ładzie, to przynajmniej o innych nieprzyjaciół odparciu myśleć mogła. Lecz spokoju domowego nie rychło mogła wyglądać Polska!

Siedmiogrodzkiego księcia napady i zdobycze, z pozostałemi jeszcze Szwedów niedobitkami krwawe walki, w których Czarniecki i Lubomirski nowemi tryumfy sławę swoją rozjaśniali; ściganie Szwedów znowu przez Czarnieckiego aż do Danii, wojna pełna zwycięztw z Chmielnickim i nakoniec w r. 1660 po śmierci Karola Gustawa zawarty traktat między Szwecyą a Polską w Oliwie, były to sceny ostatnie, zakończające ten bolesny dramat lubo nie rozwiązujące jeszcze stanowczo wielkiej intrygi naszej ojczyzny z jej losem.

Na tle tego wielkiego obrazu dziejów naszych, któreśmy tu streścić usiłowali, odbywały się mniejsze, lecz odgrywające tylko role natchnieniem własnej miłości stwarzane.

We wszystkich spomnianych tu wypadkach i nieszczęściach Polski, Marya Ludwika najżywsze okazywała współczucie, i w interesie swojej przewagi nad mężem liczne na swoją rękę przyprowadzała do skutku zamiary. Wpływ ten jej i zajęcie się to wielkie interesami państwa zrodziły w narodzie wielką ku niej niechęć, którą Marya Ludwika, chcąc pokonać lub złagodzić przynajmniej, wyszukiwała i zjednywała sobie i swojej t. j.

*) Patrz monografię Maryi Ludwiki. *Niewiasta* z r. 1860, Nra 1, 2, 3, 4, 6, 7, 9 i 11.

francuskiej partyi, ile mogła jak najwięcej stronników między panami i szlachtą. To, że Marya Ludwika namówiła Jana Kazimierza do zawarcia przymierza z Austryą wtedy, gdy do bawiącego w Opolu króla wspomniany wyżej Schlippenbach od Karola Gustawa był wysłany, już było wielką w oczach niechętnych Maryi Ludwice winą, przez którą sobie królowa liczbę swych nieprzyjaciół powiększyła. Trzeba było koniecznie zyskiwać sobie stronników, aby uspokoić niechętnych. Nie tylko jednakże do tego celu potrzebnymi byli Maryi Ludwice zwolennicy i przyjaciele ze szlachty. Miała ona ważniejsze plany, do których trzeba było jej stronnictwa, a o których dla tego tu spominamy — iż najprzód są dalszym ciągiem nieszczęsnego panowania Jana Kazimierza, a powtóre, że mają związek z głównym naszego opowiadania przedmiotem. Maryi Ludwice chodziło przedewszystkiem o wciągnięcie w sprawy Rzeczypospolitej pośrednictwa Francyi, swej pierwszej i drogiej ojczyzny, nad którą nic nigdy w sercu i myśli jej nie było droższego. Wszystkie bowiem zajęcia się jej sprawą Polski nie pochodziły z miłości do tego kraju, ale były tylko wynikiem jej potajemnej polityki, w którą jak w sieć pajęczą wciągała coraz więcej much z pomiędzy panów i szlachty, dających się dość łatwo pięknemi jej przynętami uludzić. O to pośrednictwo starała się ona już prawie jawnie w Gdańsku gdy do tego miasta król i senatorowie zjechali, celem zawarcia traktatu z Szwecyą, zawartego też w rzeczy samej w Oliwie.

Najskuteczniejszemi środkami do korzystnego przeprowadzenia interesów Francyi w Polsce były, według Maryi Ludwiki, kreowania figur około siebie, któreby przez wdzięczność za swe wyniesienie całkiem jej były własnością. Tak więc jak niegdyś sławna Urszula Mayerin *) przez Zygmunta IIIgo, rozdawała urzędy i godności dla złota, Marya Ludwika ze szlachetniejszych pobudek, bo dla pomyślności swej francuskiej partyi, tworzyła hetmanów, kanclerzy, podskarbich itp. według swojej woli.

Wielki kanclerz Prażmowski, podkanclerzy Bogusław Leszczyński, wielki podskarbi Jan Krasiński, referendarz Jędrzej Morsztyn, wojewoda sandomirski Jan Zamojski i marszałek wielki koronny Jan Sobieski, były to względami Maryi Ludwiki stworzone figury, dla jej interesu zupełnie zjednane, i charakterem nowego jej, po francusku urządzonego dworu, przejęte. Dwaj szczególniej z pomiędzy wymienionych tu figur zwracają naszą uwagę, a chcąc mówić o nich, sądziliśmy za rzecz stósowną spomnieć o prawdziwem ich stanowisku na dworze. Dwiema więc temi postaciami, będącemi narzędziem polityki królowej, są pan Zamojski i pan Sobieski, obaj ugrzecznieni i sfrancuzieni kawalerowie, harmoniujący najdoskonalej z wykwintnym jej dworem, mającym stanowić dla Maryi Ludwiki właśnie ową francuską partyę, której jej tak potrzeba było, aby Henrykowi d'Enghien, synowi sławnego Kondeusza, zapewnić tron polski, gdy tenże zostanie osierocony bezpotomną śmiercią Jana Kazimierza. Dwór więc jej był tą partyą ciągle nabywanemi siłami wzrastającą, do której, aby tylko więcej i więcej powag krajowych przyciągnąć, używała Marya bądź łaski, bądź groźby, bądź obłudnego pochlebstwa, bądź powierzchownej świetności i przepychu, bądź nareszcie swego własnego rozumu, który był najlepszym jej sekretarzem i zawsze dobrym skutkiem uwieńczał jej zamiary. Ten to jej rozum wytłómaczył jej, iż najlepszym wpływem i najlepszą wędką, na którą masy niebacznych rybek złapać się dadzą, będzie wyzucie znakomitszych figur z resztek pozostałej w ich sercu narodowej prostoty, i olśnienie ich słabego wzroku jasnością pięknie i zręcznie ugrupowanego dworu, na którym tak dobrze trzeba było odegrywać komedyą... aby biednych widzów aż do omamienia, niby rzeczywistym urokiem, z parteru ojczystego znęcić i wciągnąć aż na scenę. Rozum królowej dobrze widział rzeczy.

Na dworze Maryi Ludwiki, gdzie najważniejsze role powierzone sobie miały dwie piękne francuskie figurantki: Marya Kazimiera d'Arquian i panna Gordon, odegraną być miała ta komedya. Figurantki te były to piękne panienki, lubiące bardzo tańczyć i tych, którzy tańczyli najlepiej; lubiące pisywać bileciki miłosne do swych *czcicieli*, będące więc dobremi wabikami dla zamiarów swojej pani.

Rozum Maryi Ludwiki umiał kreowane przez siebie figury przywiązywać, do dworu, jeszcze silniej, niżeli wdzięcznością, umiał bowiem żenić je z przywiezionemi na ten cel pannami dworskiemi, które własnym już instynktem i własną ochotą dopomagały jej do tej polityki. Sfrancuziony wnuk dzielnego hetmana, a najsłynniejszy niegdyś w Paryżu tancerz Jan Zamojski; ulubiony poeta, wprawdzie zdolny i języka polskiego nie każący z innymi, a przez tłómaczenie francuskiego Cyda Kornelowego szanowany wielce na dworze Jędrzej Morsztyn, referendarz; szarmancki podskarbi Krasiński, i sentymentalny marszałek Sobieski — oto najwierniejsi przyjaciele Maryi Ludwiki, najserdeczniejsi czciciele niebiańskich rozkoszy jej dworu, *inamoratissimi cavalleri* wszystkich panien, piszących do nich liściki tak słodkim i tyle uroku mającym w sobie językiem francuskim.

Pan Jan Krasiński ożenił się z jedną z pomiędzy ładnych tancerek; uwieńczony tłómacz Kornela, Jędrzej Morsztyn, pojął za żonę pannę Gordon, także dworską damę Maryi Ludwiki; a król tańców, wyfryzowany wnuk jedynej niegdyś podpory i obrońcy ojczyzny, pan Jan Zamojski r. 1657, a więc w roku zaciętej walki jego braci z Karolem Gustawem, oświadczył się o śliczną rączkę czarującej dwór cały wdziękami swojemi Maryi Kazimiery de la Grange d'Arquian.

III.

Marya Ludwika cieszyła się swemi tryumfy. Nietylko bowiem panowie polscy z rozkoszą wprzęgali się w jej rydwan polityczny; ale i szlachta — ta szlachta serdeczna, pełna miłości ojczyzny, wiary i prostoty, zaczęła sobie w francuskich podobać fraszkach, a niejaki Grzymułtowski, zakupiony z duszą i ciałem dla królowej, był naczelnikiem partyi francuskiej, formującej się ze szlachty.

Jednym także z niemałych jej tryumfów było wydanie pięknej d'Arquianki za pana Zamojskiego. Małżeństwo to było tylko czystą polityką królowej. Marya Kazimiera wcale nie kochała swego męża; nie przeszkadzało to jednakże do tego, iżby mąż nie miał jej kochać serdecznie, a tem samem być najuniżeńszym i najzawołańszym służką tej swojej dobrodziejki, która go takim klejnotem udarowała, jakim była maleńka paryska rączka d'Arquianki.

Maryi Kazimierze podobał się raczej po uszy w niej zakochany a królowej jeszcze potrzebniejszy, niż inni,

*) Urszula Mayer(in), była to Bawarka rodem, bawiąca na dworze Zygmunta IIIgo, u którego żony Konstancyi wielkie posiadała łaski. Po śmierci Konstancyi znękany i gasnący już król ufał tylko Urszuli, z czego też ta, od Jezuitów zawojowana Niemka, umiała korzystać. Wiecznie na *biedę* uskarżający się Jezuici w Urszuli mieli najlepszą protektorkę do Zygmunta IIIgo, którego miękości dobrze tą drogą nadużywali.

później z woli najjaśniejszej pani marszałek wielki koronny, Jan Sobieski, znany już w kraju jako waleczny ojczyzny obrońca i czuły salonowiec, postacią swą i dowcipem, którego nauczył się w Paryżu, zniewalający sobie wszystkie panie dworu. Jan Sobieski, o którym bliższe szczegóły w innym podamy rozdziale, potrzebnym był bardzo królowej. Mając bowiem lat 15 był on już w Paryżu i wtedy zaprzyjaźnił się serdecznie ze se sławnym Kondyuszem, który przecież był głównym przedmiotem Maryi Kazimiery. Sobieski przeto, będąc przyjacielem Kondeusza, powinien był także być przyjacielskim dla królowej. To też starała się Marya Ludwika usilnie o tę przyjaźń, która tem przydatniejszą była dla niej, im coraz większego znaczenia i chwały nabierał Jan Sobieski.

Czuły marszałek, skoro tylko ujrzał raz pierwszy piękną d'Arquiankę, zakochał się w niej bez pamięci. Porwany wirem zapomnienia i powszechnem skażeniem obyczajów nie był Sobieski świętszym od reszty młodzieży i nie młodzieży, nadskakiwał paniom u dworu, i przez lat dziesięć kochał się ciągle w francuskiej pannie dworskiej *), a miłość z jego serca nie wygasła i wtedy, gdy już panna d'Arquianka była żoną wojewody sandomirskiego. Miłość tę bowiem utrzymywała w nim sama pani Zamojska i królowa, która myśląc sobie, iż wydając Maryę Kazimierę za Sobieskiego, straciłaby przez to Zamojskiego—a dla partyi formującej się dopiero i jeden stracony dużo znaczy — wydała ją za Zamojskiego, tolerując i każąc tolerować tajemne stosunki miłosne młodej żony z Sobieskim... i tym sposobem obydwóch zatrzymała przy sobie.

(C. d. n.)

ZEMOWIT,

Książę Mazowiecki.

(Z podań ludu).

(Ciąg dalszy).

III.

Już w bolu dzika umilknęła burza,
Tylko grzmot głuchy huczał z po za wzgórza
Cichnąc — i błyski stronami migały,
Wezbrane wody pod zamkiem szumiały
Mętne; — po burzy noc cicha, pogodna,
I ziemia deszczem błyszcząca i chłodna.
Księżyc odchylił obłoków zasłonę,
I — jako matka na dziecię uspione,
Kiedy po płaczu w słodki sen zamarzy,
A ona łzy mu wycałuje z twarzy —
Patrzał na ziemię, i w senne ją czoło
Srebrnym promieniem całował, i w koło
Tulił ją we mgły tkane promieniami,
I niebo na nią patrzało gwiazdami.

Na zamku cicho — straż na wałach drzema —
Gościnna izba pusta — giermka niema,
I drzwi otwarte, a światło kaganka
Czerwonym w górę wzdyma się płomieniem,
Niby tęskniąca za giermkiem kochanka,
I drżąc po ścianach z przeczucia i trwogi,
Zdało się, że go wrócić chce z tej drogi.
Cicho! ktoś stąpa po zamkowej sieni,
To Janusz czuwa; pośród nocnych cieni
Siwemi oczy tak ruchliwie miga
Jak jastrząb stary, gdy ptaszynę ściga.
I najprzód z cicha zajrzał do komnaty,
Spojrzał na giermka rozrzucone szaty,
Na broń, i splunął, mądrą kiwał głową —
I poszedł potem w ulicę lipową,
A na wilgotnej ścieżce wśród ogrodu
Oglądał pilnie ślad męzkiego chodu,
I szedł do okna księżnej za tym śladem.
Przed oknem księżny giermek z licem bladem
Klęczał wpatrzony w górę — i rąk dwoje
Na strunach harfy miał jako powoje,
Co się pną drżące — przy blasku księżyca
Zacięte bólem usta, blade lica
Posągu cichość i powagę miały;
Jeno niewieście łzy — co z ócz kapały,
I smętnie, cicho po strónach dzwoniły,
Że posąg żyje i cierpi — mówiły.

Nagle uderzył w struny — i pieśń drżąca,
Giętka, namiętna, prośbami gorąca
O okna księżny tłukła się skrzydłami,
I jako szatan kusiła słowami.

Szumi sokoł skrzydłami,
Leci górą z chmurami
Za samicą do klatki porwaną —
W czarnej zbroi na koniu
Leci rycerz po błoniu —
Leci, tęskni za swoją kochaną.

A kochana bezmała
Żoną grafa została
W dużym zamku, na jasnym gdzieś dworze.
Graf ucztami się bawi,
Żonka we łzach się pławi,
Rycerz śpiewa przed oknem na dworze.

I zaklinać ją zacznie,
Tak miłośnie, rozpacznie,
Z takim bólem, tęsknotą i mocą,
Że grafina wyjrzała,
Liczko łzami zalała,
I uciekła z rycerzem północą.

Leci rycerz ustronią,
Ostre strzały go gonią,

*) Karol Szajnocha. Szkice historyczne, t. III.

Strzały grafa i jego siepaczy —
On grafinę w płaszcz słoni,
Uciekł — uszedł pogoni,
Lecz po ziemi krwią swoją ślad znaczy.

I na konia się skłoni —
„Moja luba — rzekł do niej,
„Widzisz klasztór ten biały wśród góry?
„Gdy ja usnę w mogile,
„Przemódl życia tam chwile,
„Lecz w zamkowe niewracaj już mury.“

Rzekł i wargi mu zbladły —
Ręce zimne w dół spadły,
I nieżywy się zwalił na konia.
Ona trupa schwyciła,
Zcałowała, spieściła,
I pobiegła, gdzie klasztór, przez błonia.

Szumi wicher po lesie. —
Trupa z sobą koń niesie,
Do rodzinnej poleciał z nim włości,
A w zakonnej już bieli
Grafka modli się w celi,
A graf rozpił się z żalu i złości.

Zcichnął — pieśń echem tłucze się o mury,
Janusz pięść ściskał i mruczał — ponury
Poszedł ku bramie, zbudził straż zamkową,
I wiódł ich z sobą ulicą lipową
Pośród drzew gęstych, i siwemi włosy
Strząsał z gałęzi srebrne krople rosy.

Szli i milczeli — Janusz stanąć kazał —
Ręką na okno księżnej im pokazał,
Z którego światła biła struga jasna,
„Idźcie! — rzekł do nich — i tego tam błazna,
„Co w okno księżny tak śmiały wzrok ciska,
„Zwleczcie na ziemię, zwiążcie silnie sznury,
„I wrzućcie w wieżę, ale niech tam który
„Kułakiem dobrze usta mu zaciska,
„By głupim wrzaskiem nieobudził księżny,
„Ni służby w zamku — a nie jest orężny,
„Więc idźcie śmiało!“ — Rzekł, a oni poszli
Chyłkiem nad gwarną Rawą wśród zarośli.
A Janusz czekał drżąc — oko i ucho
Posłał za nimi. — Po chwili z tej strony
Krzyk urywany rozdarł ciszę głuchą,
I zcichnął nagle, znać gwałtem stłumiony.

I kiedy księżna wyjrzala ze trwogą,
Już cicho, pusto było wśród ogrodu,
I tylko drzewa, zbudzone nad drogą,
Szeleszcząc drżały z bojaźni i chłodu.

IV.

Już jesień żółte posypała liście,
Gdy książę wracał z Krakowa do Rawy —
Snuje się orszak wśród srebrnej kurzawy,
Z poszany k'księciu milcząc uroczyście.
Chmurny był książę, zgryzotą pobladły,
Bo zawiedzione nadzieje o tronie
Kamieniem smutku na duszę mu padły.
Jechał i dumał o swej młodej żonie.
Ona jedyną dumą teraz jego,
Jedyną gwiazdą dla myśli starego,
Więc dumał sobie: złe przejdzie jak woda,
Kiedy mi w oczy spojrzy żonka młoda;
W białych ramionach kiedy usnę żonie,
Pomyślę, że ja na krakowskim tronie.
Tak dumał książę, a dumy wiatr niesie,
I czarna wrona po nad drogą drze się
Złe wróżby kracząc — hejhej książę panie,
Nie będzie tobie miłe powitanie —
Czarna nowina czeka tam na ciebie,
I czoło w troski, jak w błoto, zagrzebie.

Przed bramą zamku Janusz pochylony
Do ziemi księciu wybija pokłony,
Całuje szaty i obima nogi:
„Witajże! witaj wielki książę z drogi!“
A książę w koło zdziwiony wzrok wodzi,
Głasnął Janusza po plecach i prawi:
„Stary mój sługo, gdzież to księżna bawi,
„Że mnie powitać z drogi nieprzychodzi.“
A Janusz prawi: „księżna słaba siedzi
„W komnacie swojej.“ Mówił to, a oczy
Przed wzrokiem księcia w czarną ziemię boczy,
I głos mu dziwnie drżał przy odpowiedzi.

Więc gdy stanęli w komnacie zamkowej,
Książę się zwrócił i rzekł temi słowy:
„Stary! ty wiesz coś — twoja siwa głowa
„Jako grób smutna, złe mi wieści chowa.
„Czemu ty stary drżałeś, gdyś mnie witał?
„Czemu, gdym ciebie o księżnę zapytał —
„To oczy młynkiem w kół mojego wzroku
„Biegły, jak gdybyś bał się, bym ci w oku
„Myśli nie złapał i nieodgadł sprawy?
„Pomnę, gdym wracał z litewskiej wyprawy,
„A w zamku leżał zimny trup rodzica,
„Tak wtedyś płakał, tak bladeś miał lica,
„Tak drżałeś wtedy. Powiedz! co się stało?
„Czy psów litewskich rojem naleciało
„Krwawe ną sioła rzucając pożary?
„Czy księżna kona — czy?... no gadaj stary!“

Janusz niemówił nic, jeno drżącemi
Rękami księciu dał jakieś pisanie,
I wzrok z bojaźnią upuszczał do ziemi,
I bladł na twarzy jak wapno na ścianie.
A pismo było: w spokojnym klasztorze
Pozwólcie książę spędzić żywot lichy,
Bo serce moje kochać was nie może.
Z grzeszną miłoślą w kąt klasztorny, cichy
Uciekam, czynić tu żal za me grzechy,
Za szczęście wasze będą me pacierze;
Nieklnijcie, ale żałujcie mnie szczerze.

„W klasztorze?“ książę zawrzasnął ponury,
Aż zamek dudnił, aż się wstrząsły mury,
I chwycił ręką Janusza za ramie,
„Gdzie ona, stary — mów! bo cię połamię,
„Czemu uciekła?“

A Janusz drżąc, wielce,
O giermku cedził powieść po kropelce,
I kończył patrząc w groźną księcia postać;
„Więc ja go książę kazałem ochłostać,
„I w turmę wsadzić co najgłębszą kazał,
„I jako oka pilnowałem w głowie;
„Lecz raz, gdym ranne niósł mu pożywienie,
„Zastałem puste, otwarte więzienie,
„I szat ostatki w skrwawionej okowie,
„I ten różaniec przy kajdanach leżał,
„On mnie się zdaje do księżny należał.
„Od tego czasu, jakoś w dwie niedzieli
„Księżna w klasztornej zamknęła się celi.“

„Dosyć!“ rzekł książę, bo słowa go piekły,
Zerwał się z krzesła, i latał jak wściekły.

„Idź! zbieraj ludzi, niech tu staną zbrojnie,
„I niech rynsztunek wezmą jak ku wojnie.
„Na ojca trumnę, i na rany Boże
„Klnę się, dopóty głowy w sen nie złożę,
„Ani się dotknę chleba albo soli,
„Póki się zadość nie stanie mej woli.
„Klasztór rozwalę, na okruchy skruszę,
„Ołtarze zrąbię, ale ją mieć muszę.“

V.

Czemuż to dzwony tak żałośnie płaczą?
Czy zażegnania po powietrzu znaczą
Przeciwko chmurom, co się do około
Pozawieszały u niebiosów czoła,
I w czarną ziemię brudne leją deszcze?

Czemuż to wicher tak smutno szeleszcze,
Jakież to pieśni porywa ze sobą?
Treść ich boleścią, a nuta żałobą.
Ku kościołowi pośród długiej drogi
Dymią pochodnie, czerni się lud mnogi,
I księża nucą poważnemi słowy,
A dzwony dzwonią z wieży marsz grobowy.
To Hanny ciało w ciemny grób prowadzą —
Już postawili trumnę wśród kościoła,
Po gorzkiem życiu wonnym dymem kadzą,
I lud z pacierzem uklęknął do koła.
A po nad ludem sterczy książę twarzą,
Blaski pochodni po jej szczerbach łażą,
Wśród dymu gromnic zda się ta twarz składać,
Skurczać, rozciągać, wznosić i opadać.
I lud z bojaźnią patrzał ku tej stronie,
Gdzie klęczał książę, bo o księżny zgonie,
O gniewie księcia dziwne, straszne wieści
Cicho do ucha lud sobie powiadał.
Któż księżnę widział w przedzgonnej boleści?
Któż do stygnących rąk gromnicę wkładał?
Nikt nic nie wiedział. Jednego zarania
W czeladną izbę przyszedł Janusz stary,
I kazał służbie poustawiać mary,
Mówiąc, że księżna po długiej niemocy,
Oddała ducha Bogu dzisiaj w nocy.
A ludzie nieraz widywali przecie
Bladą twarz księżny z za więziennej kraty;
Nieraz jęk wyszedł boleścią bogaty
Z wilgotnych murów cichą nocą w lecie;
I wczesnem ranem, gdy mgła w polach leży,
Nabożne pieśni słychać było z wieży,
Że ludzie wiejscy stawali wśród drogi
Ze łzą litośną słuchając niebogi.
Mówili dworscy, że przed zgonem księżny,
Na dni niewiele, jakiś człek orężny
Od ojca księżny przyleciał do księcia,
Że książę zląkł się i do niepojęcia
Rozjadł się gniewem, zdarł pismo w kawały,
I podsłuchano jak wzruszony cały
Gadał sam z sobą: winny czy niewinny,
Świadków nietrzeba, będzie rozwód inny.
Jak na Janusza klasnął w dłoń dwa razy,
I długo jakieś dawał mu rozkazy,
Straszne rozkazy widać szeptał z cicha,
Bo Janusz wyszedł pobladły jak chusta,
I tak się żegnał jak od złego licha,
I nieprzytomnie ruszał blade usta.

Takie się wieści rozłaziły kołem,
Z ust do ust pełznąc jako wąż po trawie,
Kryjąc się w cieniu przed książęcem czołem,
Co wśród pochodni wyglądało prawie,
Jakby kamienne sklepienie na grobie —
Nieznane ludziom kryjąc myśli w sobie. —
Książę się modli. Modlitwą zwać trzeba,

Bo ręce złożył i wargami rusza,
Ale daleka znać od modłów dusza,
I dalsza jeszcze od spokoju nieba,
Bo nieraz wzrok mu tak dziko zabłyśnie,
I tak się strasznie wpatruje w marmury,
Że zda się marmur w dwoje się rozpryśnie;
I warga stanie, nim pacierz wygada,
I dłoń od dłoni bezwładnie odpada.

Dopiero kiedy „requiescat“ mnichy
Zawiedli chórem, że od śpiewu siły
Zadrżały serca, mury i mogiły —
Zbudził się książę znów z wyrazem pychy,
I dumne czoło znów podniósł ku niebu,
I był już takim do końca pogrzebu;
I zimnem czołem i suchą powieką
Patrzał jak grobów otwierano wieko,
Jak przodków trumny wśród stęchłej pieczary
Spłowiałe k'niemu wyszczerzały lica,
Gdy po nich blaskiem ślizgła się gromnica.
Już trumna księżny nikła pośród cieni,
On ni łzy jednej nierzucił na trumnę,
Wyszedł z kościoła, krok i lica dumne.
Poszedł, a za nim ludzkie twarze cisły
I wzrok ciekawy i dzikie domysły.

(C. d. n.).

UŁAMEK Z PODRÓŻY
DO AZYI MNIEJSZEJ,

przez

Seweryna Korzelińskiego.

W każdem stóleciu potrzeby, zwyczaje, albo nowe wypadki są przyczyną, że nowe wyrazy wzbogacają słowniki. I tak, niesłyszane w mojej młodości słowo: „Internacya“ w 1850 roku nauczyło mnie pojmować, że oznacza pod delikatną pokrywką gościnności niewolę. Nie jest to wprawdzie niewola zaostrzona postem w podziemnych sklepieniach lub kopalniach, z brzęczącemi przy nogach dodatkami, a nawet powiedzieć można, że w Turcyi była ona bardzo znośną dla nas, których Padyszach nazywać kazał Musafirami, (gośćmi, przyjaciołmi) swymi, i utrzymanie przyzwoite dawał. Konieczność jednak widzenia przy sobie, czy idąc na spacer, czy w odwiedziny, warty, ujmowała sułtańskiej przyjaźni dla nas nieco wartości, przerabiając ją nieznacznie na delikatną niewolę. A więc łańcuchy nasze, choć niby uwite z róż i ozdobione grzeczności powłoką, nieprzestawały być łańcuchami. Nieprzeszkadzały one wszakże nam żyć swobodnie, i używać darów bożych w tej prześlicznej części świata o tyle, o ile lekki przymus dozwalał.

W marcu 1850 r. gdyśmy zimowali w Szumli, jedni z nas zawiadomieni zostali przez przybyłego ze Stambułu nadzwyczajnego komisarza Vefik Achmeta effendego, drugiego dragomana Porty, teraźniejszego posła w Paryżu, o przeznaczeniu przejechania się do Malty; inni zaś o grzecznej prośbie, a w rzeczy samej o rozkazie, udania się na mieszkanie do Kutahije, miasta w głębi Azyi Mniejszej położonego, na internacyą.

Prośbie ekscellencyi Achmeta oprzeć się tem mniej było możliwem, ile że ją wesprzeć mógł pułkiem piechoty gwardyi sułtańskiej, i paru szwadronami kawaleryi. Wsadzono tedy gości Padiszacha na powózki i zawieziono do Warny. Tam czekał na nasze przybycie szpaler żołnierzy, formujący ulice od miejsca, gdzieśmy wysiadali z powózek, aż do samego brzegu morza. — Widząc taką paradę, zrozumieliśmy że nadużywać nam niewypada grzeczności chcąc pozostać w mieście, bo lance tureckie, nie dla wyrządzenia nam honorów wojskowych błyszczały w szeregach. Może by były porachowały chętnie ziobra giaurom, gdyby je niewstrzymywał był wyższy rozkaz, który obecnie w Damaszku zdaje się nie mieć żadnej powagi i siły. Musieliśmy przyjąć za dobrą monetę uprzejme wyrazy pułkownika eskortującego nas, równie jak i zapewnienie, że na okręcie, *czok si jamsk* (bardzo dobre jedzenie) już dla nas przygotowane, co znaczyło: „ruszajcie prosto do łodzi, bo do Warny was niepuszczę.“ Niezatrzymując się tedy ani chwili, zawieziono nas na okręt parowy, Tahiri Bahri nazwany.

Pierwszy raz widziałem morze, pierwszy raz byłem na okręcie. Jedno i drugie niebardzo mi się podobało, choć przyznać muszę, że widok czarnych bałwanów, gubiący się w przestrzeni bez końca, niezwykłe zrobił na mnie wrażenie. Niebo pokryte było chmurami, tak nazwane marcowe chwile, zupełnie podobne do naszych, w przerwach miotały śniegiem, a wiatr czasami mocno podmuchujący wznosił powierzchnią morza w festony nieregularnie wyząbione, i przymuszał niosącą nas łódź do robienia skoków i nieprzyjemnych i przerażających każdego, który pierwszy raz w podobnem usposobieniu bałwanów znajomość z morzem zabierał. Okręt znacznych rozmiarów, poważnie chwiejący się na kotwicy, powinien był podobać mi się, bom żadnego innego niewidział. Komin buchający dymem, wznoszące się maszty, i cała powierzchowność imponująca, niezachwyciły mnie tyle, ilem się spodziewał, a nieporządek na pokładzie, dosyć brudno wyglądające kabiny, i leniwie ruszająca się załoga, niewiele obiecywały przyjemności w podróży. Ale podróż krótka, mówią że 16 do 18tu godzin trwa tylko z Warny do Stambułu, więc niewygoda czas krótki trwająca niewiele zrobić może przykrości ludziom, obeznanym z nią dostatecznie.

W parę godzin wszyscy byliśmy na okręcie. Oprócz czterech nas udających się do Brusy w Azyi Mniejszej, 120—130 płynęło do Malty. Z wyższych naszych oficerów znajdowali się na okręcie: jenerał Dembiński, Władysław hr. Zamojski, Bystrzanowski, kilku pułkowników i majorów. Między Turkami znany Iskinder basza (waleczny Iliński), i renegat Por....ski zwany Achmetem, a dodany nam od rządu tureckiego na tłómacza. Nosił on wielce niesłusznie tytuł kołasy (kapitana), gdyż nigdy niemógł się stósować do przepisów koranu, i wódkę lubił nadzwyczajnie. Oszukiwał też Mahometa ile razy sposobność się wydarzyła, przestrzegając wszakże, by na te drobiazgowe uchybienia prorok niezważał. Zwykle biorąc kieliszek do ręki mówił: *Mahomet guerleri kapanmysz* (Mahomecie zamruż oczy) i pił tęgo! Musiał on często dawać ową przestrogę prorokowi, bom go widział nieraz w arcy-różowem usposobieniu. Słabość do kieliszka największą okazał w marszu przez Bułgaryą z Widdynu do Szumli. We wsi, której nazwiska niepomnę, odpoczywaliśmy przez dzień cały, a był to dzień zaduszny, w którym mieszkańcy znosili na groby przyjaciół i krewnych jedzenie i napoje. Nasz tłómacz wiedziony czułością serca poszedł

na cmentarz, łaził pomiędzy mogiłami nieboszczyków, płakał i pił za dusze zmarłe, gorętsze nabożeństwo okazując i dłużej się mu oddając w miejscu, gdzie lepszą wódką butelka była napełniona. Przed wieczorem ledwo wysunął się na ulicę, gdzie kupka Polaków rozmową zajęta stała. Do nich zbliżył się, opisując gzygzaki po drodze pobożny kołasy, a mając zawsze na sercu dawnych ziomków, dobrze zalecał, by żyli z sobą w zgodzie, przyjaźni i trzeźwości. Przestrogi wybełkotane niesfornym językiem opilca, choć w gruncie prawdziwie zbawienne, wywołały wesołość i śmiech słuchających. Najważniejszą jednak osobą między muzułmanami był komendant okrętu kapitan Izet, chudy, wysoki i ponuro wyglądający człowiek. Jedno miał tylko oko, lecz to, błyskawice ciskając za dwa, dodawało srogości ogorzałej twarzy.

O zachodzie słońca zagrano marsza jakiegoś na piszczałce, mającej dodawać ochoty nędznie wyglądającym tureckim majtkom do wyciągania kotwicy, i okręt wyruszył z przystani na morze, a ja poszedłem posilić się obiecanemi przez pułkownika specyałami. Dla słabości zdrowia hr. Zamojskiego, stół był w jego kabinie zastawiony, a na stole *czozba* (zupa turecka z ciastem), kura gotowana, i makaran z łojem, wszystko zimne i niedobre, chleb i wino było doskonałe.

Całodzienne znużenie niedługo dozwalało zostawać na pokładzie, choć wszystko com widział było dla mnie nowe, a obznajomienie się z szczegółami życia na morzu interesujące. Udałem się na spoczynek z przekonaniem, że nazajutrz ujrzę jedno z najpiękniejszych miejsc na świecie, Bosfor. Nadzieja jednak ta w najprzykrzejszy sposób zawiedzioną została.

(Dokończenie nastąpi).

NIEWIASTA
w obec staroczeskiego prawa.

Pan Erazm Wocel odczytał rozprawę na zebraniu królewsko-czeskiego towarzystwa nauk i umiejętności w Pradze na dniu 15 kwietnia b. r. w języku czeskim, i wykazał, że (podług prawa książęcia Konrada Ottona), córki dziedziczyły ojczyste dobra, gdy synów niebyło; i że do spadku wtedy dopiero inni krewni po mieczu i kądzieli przychodzili, kiedy córek niebylo; że zatem dobra (oddzielone) pewnego właściciela, które posiadał, nie mając żadnych spólników, skoro zmarł bezpotomnie jeszcze w pierwszej połowie XIII wieku w Czechach na króla nie przypadały, i że takiego prawa kaduku jeszcze wówczas tam nie było.

Świadectwo Ctibora z Cimburga (Kniha Towaczowská), także Wszehrda i ustawy ziemskiej (zrizeni zemska) Ferdynanda Igo dowodzi także, że familijne nawet nie rozdzielone (w spółce dzierżone) dobra spadały na córki po śmierci bezdzietnych braci i stryjów. Wykazał także p. Wocel, że siostry równie dziedziczyły z braćmi swoimi owe allodyalne dobra, które ojciec ich nabył kupnem i do tabuli krajowej z tem oświadczeniem zaciągnął, że majątek kupił dla siebie i *swoich dzieci*. Nadto mógł w późniejszych średniowiecznych czasach każdy posiadacz niespólnych dóbr zapewnić je swoim krewnym czy to męzkiej czy białej płci, a to pozornem tychże dóbr obdłużeniem, zaczem król ich posiąść i objąć w lenno dać nie mógł.

Ustawa prawna, wedle której niewiasta, dziedzicząca dobra nieruchome, wraz z posiadaniem tychże zyskiwała wszelkie prawa przynależne posiadaczowi męzkiemu, i też wykonywała tak samo jak on (ve vszecko zboži vkroczili má jako syn i v jina práva vsecka pohlavi mużskému przislusznà. Wszehrd 162), ta ustawa prawna wyciska cechę liberalnego ducha na staroczeskim prawodawstwie. Za tem większe będziem mieli znaczenie przytoczonej ustawy, skoro zważymy, że Niewiasta w Niemczech, chociaż była właścicielką nieruchomych dóbr, nie przestawała być pod opieką którego z męzkich krewnych i nigdy praw wszystkich, pogłowiu męzkiemu przynależnych, wykonywać nie mogła. Z owej to staroczeskiej ustawy wynikło uprawnienie niewiast do opieki, z której niewiasty wykluczało niemieckie prawodawstwo. Czeski Wszehrd zna trojaki rodzaj opieki, właśnie jak ją rzymskie prawo oznacza, wszakże rozróżnia rzymską prawną opiekę (legitima tutela) od czeskiej przyrodzonej (poruczenstvi przirozene), przywodząc, że do opieki są powołane i uprawnione według staroczeskich praw nietylko matka i córki, ale także, w braku bliższych krewnych po mieczu, ciotki po ojcu lub matce. Wolno też było niewiastom przybrać sobie współopiekunów. Wocel przytaczał potemu dokumenta, w których niewiasty występują jako niezależne opiekunki swoich małoletnich dzieci lub krewnych, i porównał na ostatku ustawy czeskiego prawa z dotyczącemi paragrafami austryackiego cywilnego kodeksu, któremu bardzo wiele brakuje, aby mu przyznać wartość staroczeskiego prawa, skoro się zechcem zapatrywać na wszystko ze stanowiska *ludzkości*.

Później podjął Wocel rzecz o rozdziale dotyczącym posagu (Mitgift) i wiana (Widerlage), o którym to rozdziale obszernie mówią Wszerhd i czeskie źródła praw, a z czego wynika, że prawodawstwo czeskie bardzo się troszczyło o zapewnienie wiana, i że nieraz pan młody nawet na ewikacyę rzymskiej *dupla* dla zabezpieczenia wiana (antidos) zezwalać musiał. Podług księgi (Kniha Towaczovská) miał zabezpieczony majątek żonin na dobrach mężowskich hipoteczne pierwszeństwo przed wszystkiemi innemi prawnemi pretensyami, ba nawet przed podatkiem krajowym i nie mógł być nadwerężonym, choćby hipoteczne dobra od nieprzyjaciół spustoszonemi a zamki zdobytemi były. Należy tutaj jeszcze dodać, że wiano, które pan młody (nowożeniec) dziewicy zapewnić musiał, o połowę jej posag przenosiło, że zaś oprawa *) dla wdowy drugie tyle wynosiła co jej posag.

Zasada czeskiego prawa, która dozwalała szlachcicowi żenić się z mieszczanką, włościanką, a nawet własną kmiotkówną, i wedle której szlachcic to uczyniwszy nie ponosił ztąd żadnego uszczerbku w prawnem swojem położeniu — ta zasada jest szczególną i wprost przeciwną ustawom prawa niemieckiego. Wszehrd bowiem powołując się na tabulę krajową (Landtafel) twierdzi, że żonę uszlachca mąż, więc ją, czy jest ze stanu miejskiego czy włościańskiego, dźwiga do władyczego lub pańskiego stanu. Przeciwieństwo pomiędzy pojęciam czeskiemi i niemieckiemi o równości urodzenia rzuca właściwe światło na niejedno zdarzenie historyczne, i tak wyjaśnia nam się, dla czego książę Brzetysław, który był synem córki włościańskiego władyki, (Bauernwladyken), nie starał się zwykłym sposobem o rękę córki Ottona z Schweinfurtu, ale ją raczej uwiódł z klasztoru. Wszehrd ma to za oznakę wielkiej dworskości, (kurtoazyi), że żonom panów, władyków, mieszczan a nawet chłopów mającym (wolną) własność ziemską przy wpisach wiana do tabuli krajowej dokładano tytuł *pani*, podczas, z wyjątkiem króla, wszystkich mężczyzn, nawet do stanu pańskiego należących, tylko po imieniu i nazwisku do tabuli wciągano.

Za bijący dowód wielkiego poważania godności niewieściej w Czechach, przywodzi Wocel z *porządku krajowego* (ordo judicii terrae), w XIV wieku, że osądzono na śmierć męża, gdy objął swoją żonę, lub jej szatą się okrył, nie wolno było porwać ani mu jakąkolwiek przykrość wyrządzić. Tej samej nietykalności doświadczano w grobowej kaplicy ś. Wojciecha w katedrze pragskiej, także w obecności czeskiej królowy. Podług staroniemieckich powieści (sag) i poezyj, obecność królowych i księżniczek także u Niemców ochraniała skazanych; lecz oczywista, że sama powieść nie może mieć tej powagi, którą ma wyraźne prawo (§ 30 Ordo jud. terrae), dowodzące, iż w Czechach wybawcza władza nie samym królowom, lecz i żonom należała.

Z przytoczonych tutaj w krótkości faktów, wynika, że Czechowie w średnich wiekach na tak wysokim szczeblu jednego z najważniejszych kierunków towarzyskiego życia stali, na jaki ledwie który naród wówczas wznieść się zdołał. Dowody wzięte z oschłych prawnych pism o głębokiem poważaniu niewiast, a z którego łatwo wywnioskować stan gólnej moralnej kultury, te dowody nie mniej są ważne, a pono ważniejsze i większej moralnej doniosłości od tkwiących w pysznych staroświeckiej poezyi pomnikach, na które w dniach naszych z niepomiarkowaną niczem krytyka rzucała się była wściekłością. (Tłumaczenie z niemieckiego druku. Prag 1861. Druck bei Kath. Gerzabek).

*) Oprawa ma to samo znaczenie rzeczywiste co wiano.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu". — Rządzca druk. **Antoni Rother.**